



ZAGZYZN



T Y G O D N I K

Nr. 14 (19).

Warszawa, czwartek dnia 8 kwietnia 1937 r.

Rok II.

W I Z J A I A K C J A

Czy wizja wyprzedza akcję, czy akcja wywołuje wizję przyszłości — są to dla nas zagadnienia werbalne; nie będziemy rozpatrywać związku przyczynowego pomiędzy nimi, ani dochodzić „ścisłych“ definicji — tych słów, czy pojęć.

Nas interesuje wartość wizji i akcji przy realizowaniu zamierzeń i konieczności państwowych. Nie tylko teoretycznie rozłączamy te pojęcia, lecz i emocjonalnie: widzimy wizjonerów w otoczeniu innych uczniów i adherentów, niż ci, którzy idą za „wodzami“ akcji. Inne uzdolnienia i inne zainteresowania charakteryzują „żyjących wizją“, inne — „ludzi czynu“. I nie tylko pojedyncze jednostki różnią się pod tym względem między sobą; można ustalić i pewne warstwy, czy raczej grupy społeczne, dla których bądź wizja, bądź akcja są sprzęgnięte z normalnymi funkcjami, spełnianymi przez te czy inne ugrupowania ludzkie.

Jak zwykle, rzucimy te sprawy na tło spraw i funkcji państwowych; przyczym pod wizją będziemy pojmowali wizję przyszłego układu państwowego, pod akcją — ruch, dążący do zamiany rzeczywistości istniejącej na rzeczywistość pożądaną.

Różne są wizje: od mglistego obrazu literackiego poczynając a kończąc na wykończonym teoretycznie układzie, który stara się ściśle uchwycić zarówno kierunkowość działań państwowych w rozmaitych działach, jak i system rządzenia.

Rozmaite też są akcje: od niewyraźnych emocjonalnych przejawów niezadowolania z rzeczywistości istniejącej i tęsknoty do lepszego jutra, aż do skoordynowanych poczynań, dążących do przekształcenia systemu rządzenia na inny, już przepracowany teoretycznie. Właśnie ta różnorodność wizji i akcji czyni niewłaściwym zestawianie tych pojęć, gdyż ogólnikowe ujęcie nie prowadzi do żadnego wyjścia, do żadnej teorii użytkowej. Zdarza się, że mglista mistyczna wizja wiąże się z akcją bardzo efektywną, a wizja głębokoboko przemyślana — z akcją bardzo nikłą.

Twórczość w dziedzinie wizyj nie jest logicznie (przyczynowo) związana z twórczością w dziedzinie akcji. Jeśli w historii danego państwa zdarzy się taki szczęśliwy zbieg okoliczności że wielka twórczość wizyjna zbiegnie się z twórczością „czynu“ (akcji) — państwo wstępuje w okres wielkiej pomyślności. Na odwrotnym krańcu — zbieg gnuśności wizyjnej z marazmem (bezczyntem) — powoduje ciężkie osłabienie a nawet upadek państwa.

Te dwa skrajne przypadki najwięcej

interesują historyków i sugerują zależność wizji od akcji lub odwrotnie; teorie jednak związane z taką postawą — są mało wartościowe, zbyt ogólnikowe, i nie pozwalają na zrozumienie wartości wizji i akcji dla państwa.

Na naszych oczach w rozmaitych krajach wizje „totalistyczne“ połączone z akcjami o niebywałym napięciu przekształciły ustroje państwowe ze statycznych na dynamiczne i pchnęły te państwa na nowe tory zamierzeń i realizacji o nieznanej dotychczas skali zasięgu i mocy. Wielkie wizje nie utraciły dotychczas nic ze swej wartości dla państw dynamicznych, jak nie osłabła dotychczas twórczość w dziedzinie akcji ani w faszystowskiej Italii, ani w hitlerowskich Niemczech, ani w bolszewickiej Rosji, ani w imperialistycznej Japonii, czy europeizowanej Turcji.

Przeciwstawieniem niejako wartości wizji i akcji w państwach dynamicznych są doktryny państwowe i wyrobienie polityczne państw „zwycięskich“, bogatych, jak Anglia, Francja czy Stany Zjednoczone.

Ostatnio widać jednak wyraźnie, jak rozpęd państw dynamicznych zmusza państwa „zwycięskie“ do przedstawiania swych „systemów rządzenia“ na nowe tory, zbliżone do typu „wizyjnego“.

U nas, niestety, nie działają jeszcze w świadomości warstw odpowiedzialnych za „bieg historii“ wielkie wizje; nie mamy też wyrobionych doktryn państwowych. Ciągłe lawirujemy pomiędzy koncepcjami, w których poszczególne hasła czy efekty powierzone, zapożyczone z cudzych wizyj, sklecone są z bezwartościowymi pod względem doktrynalnym — tradycjami z najgorszych czasów naszej historii, t. j. wieków XVIII-go i XIX-go.

Wielkość wizji Józefa Piłsudskiego otoczyła Legiony — wielką legendą, lecz ten wielki geniusz czynu nie był poparty w swej działalności w niepodległej Polsce żadną wybitniejszą akcją zespołowo-twórczą. Wizja odrodzenia państwa — była nie tylko wielką, była naprawdę jedyną w swoim rodzaju na świecie, lecz dziś musimy mieć już inną wizję; wizję państwa dynamicznego, gdyż nie czas dziś na państwo tradycyjno-doktrynalne, do czego zresztą brak nam bogactwa, tradycji i doktryny. Geniusz Józefa Piłsudskiego przesłał nam tę najwyższą konieczność państwową i po części zwolnił od troski jej realizowania; dziś czas już przejrzeć i ocenić wartość dla państwa wielkiej wizji i wielkiej akcji. Kto zatem jest odpowiedzialny za postawienie i rozwiązanie tego zagadnienia?

Nie będziemy mówili w skali indywidualnej. Uznając twórczość zespołową, nie możemy spychać tak wielkiego zadania na pojedyncze barki, gdyż geniusze typu Józefa Piłsudskiego nie mogą, niestety, być wywoływane przez żadne życzenia, zaklęcia, czy starania.

Zastanówmy się tedy, jaka warstwa jest odpowiedzialna za tę twórczość zespołową, niezbędną dla wytworzenia wielkiej wizji i wielkiej akcji.

Odpowiemy poprostu: odpowiedzialność za twórczość wizyjną i akcją państwową w wielkim stylu ponosi warstwa oświecona, u nas zwana inteligencją.

Ne można obarczać tą odpowiedzialnością warstw pracujących czy to na roli, czy to w fabryce, gdyż ich funkcje są na poziomie wykonawczym, a nie kierowniczym, a cóż dopiero mówić o poziomie planistycznym, który właśnie odpowiada twórczości wizyjnej i akcji politycznej.

Wszelkie wciąganie mas do tych prac planistyczno-twórczych jest zasłoną dymną dla nieudolności, nieróbstwa, o ile nie ordynarnego karierowiczostwa i podejrzanych apetytów na władzę i beneficja z niej płynące.

Nawet do akcji może być wciągnięta większa liczba ludzi tylko w wypadku jasnego, sprecyzowanego planu i systemu rządzenia; w przeciwnym razie będzie to droga do rewolucji anarchistycznej lub woda na młyn koncepcyj zgoła nie pożądaných dla państwa, co wszystko grozi upadkiem państwa polskiego.

Kto jak kto, ale Polacy winni pamiętać o niesławnym XVIII wieku, kiedy takie staczenie się po równi bezmyślności wizyjnej i podejrzanych akcji politycznych, zakończyło istnienie naszej niezależności państwowej.

Dziś niestety widzimy zewsząd próby takiego ukrywania za „ruchem masowym“ braku wizji państwowych i małostkowości akcji politycznych.

Wizje państwowe zastępowane są wizjami grup społecznych, zaś akcje polityczne kierowane są ku sprawom, że użyjemy modnego słowa, koniunkturalnym, przejściowym, ot, z dnia na dzień. Inteligencja zgrywa się na małych gierkach; wielkie słowa, a czasami i wielkie środki, służą do chwilowego podniecenia nerwów, niczym wódka. A ci, co widzą tę małość lub niebezpieczeństwo igrania ogniem, — zajmują postawę bierną, płacziwą; tani pesymizm, połączony z biadoleniem i krytyką kawiarnianą, wyczerpuje całą energię tych niedobitków indywidualistycznych światopoglądów XIX-go wieku.

TREŚĆ NUMERU: Wizja i akcja.—Dyplomacja.—Kierownictwo a zespół.—Kto i jak rządzi myślami milionów?—Konsolidacja czy amnestia?—O wyprawie kijowskiej.—Nowe książki.—Głosy i odgłosy.—Palcem po mapie.

Zmusić inteligencję do postawy twórczej, odważnej a dalekosiężnej, może oczywiście nie jakiś program, wypracowany przez mniej lub więcej zawodowych referentów politycznych, nie ta czy inna organizacja „masowa”, nie kongres, Sejm czy inne odmiiany „kochajmy się”, lecz zryw psychiczny, wielki ruch umysłowy, który zrewolucjonizuje psychikę inteligencji i zmusi ją do olbrzymich wysiłków umysłowych i psychicznych, skoncentrowanych koło zagadnień planistycznych państwowych. Takie napięcie umysłowe, skoncentrowane a płomienne, wyda swoje owoce: powstanie twórczość zespołowa, która stworzy potrzebne teorie państwowe, da wizję wielką lub wielką doktrynę państwową, i umożliwi wielką akcję polityczną, niezbędną dla przeobrażenia od podstaw naszego życia zbiorowego.

Dopiero nowe założenia, nowe podejścia do spraw państwowych a raczej wywołanie współczesnej wizji państwa w Polsce, zbyt

długo żyjącej życiem pozapaństwowym, pozwolą na stworzenie takiej warstwy w narodzie, która już na długiej fali będzie snuła nieprzerwaną nić twórczości państwowej.

Tylko taka tradycja może być ważną dla państwa.

W tym właśnie widzimy wielką rolę państwową wizyj i akcji politycznej. Bez nich wszelkie poczynania będą dorywcze, bezładne, znoszące jedne drugie, — czyli „naprawiaczkie”.

Bez wizji państwowej nasza administracja będzie domeną biurokratycznych mafii i wpływów grup, zerujących na państwie.

Jeżeli inteligencja nie spełni tego zadania, które winna zrealizować grupa oświecona, znajdzie się prędzej czy później w roli niepotrzebnych a kosztownych komentatorów i wyrok na nią będzie brzmiał: „precz z oświeconymi” (dołój gramotnyje). Nie myślimy ani przez chwilę o tym, by ruch umysłowy objął wszystkich tych, co mienia

się być inteligentami; większość wszędzie tworzą ludzie bierni, o średnim poziomie, nawet tchórze, egoiści, bądź po prostu mały.

Obarczamy odpowiedzialnością za dokonanie wielkiego wysiłku i rewolucji psychicznej tych, którzy dziś kierują umysłowym i psychicznym życiem grup społecznych czy politycznych.

Odpowiedzialność za ruch umysłowy odródzający spada na tych, co chcą i umieją myśleć, lecz dotychczas skupiali uwagę bądź na zagadnieniach innych, niż państwowe, bądź tworzyli i pracowali na poszczególnych odcinkach życia zbiorowego.

Dziś wszyscy zdolni do myślenia lub kierownictwa w akcji winni przyczynić się, by powstał taki prąd zainteresowania i skupienia uwagi na sprawach państwowych, by twórczość zespołowa lub zbiorowa wydała z siebie wielką wizję państwową i wielką akcję budowania Wielkiej Polski.

D Y P L O M A C J A

Jeśli zdarzyło się, że jakiś dyplomata w owoch przedwojennych, dobrych czasach u samego schyłku wieku XX przeczytał książkę Clausewitza „Vom Kriege”, to pomyślał sobie może: „A jednak Clausewitz nie ma racji; przyznaję — ciekawa to i uwodząca myśl, że „wojna jest dalszym ciągiem polityki państwa”, ale między wojną i pokojem leży przepaść, nie ma wiele wspólnego między sztuką dyplomacji a sztuką wojowania”. I zapewne przy pierwszej lepszej okazji czystej, spokojnie stał w swym nienagannym fraku i cylindrze obok pułkowników i generałów w mundurach i z szabliami. Różność zewnętrzna odpowiadała odmienności ich funkcji zawodowych i metod działania.

Gdyby dziś jednak przydarzyło mu się, choćby na dodatku filmowym, ujrzeć stojących obok siebie powiedzmy — ministra spraw zagranicznych Neuratha i generała von Blomberga, wątpliwości zakradły by się do jego myśli. Dlaczego? Dlatego, że dyplomacja stała się, w licznych przypadkach, pojętym i chętnym uczniem wojska, bo zaczęła zatracać swoje własne metody na rzecz metod niedyplomatycznych, militarnych, że wobec tego nie bardzo dziwny byłby widok ministra spraw zagranicznych w jakimś mundurze; dziwne raczej, że tak jeszcze nie jest.

Japonia, Niemcy i Włochy dostarczały (i dostarczają) materiału, na którego podstawie można powiedzieć, że nowoczesną techniką dyplomatyczną jest *fait accompli*, fakt dokonany.

Japonia dokonywuje premedytowanego ataku na Mandżurję, zmienia jednostronną decyzją i przy użyciu siły obowiązujące traktaty ale... wojny nie ma, jest tylko nieporozumienie dyplomatyczne. Dokonywa ustawicznych aktów wojskowych w Chinach Północnych oczywiście w ramach działań polityczno-dyplomatycznych, o wojnie nikt nie wspomina, chyba o możliwości jej wybuchu, bo to co jest — to dyplomacja; eksperymentalny atak na Szanghaj, jako próba walki na szerszym froncie, został zaliczony do tej samej kategorii.

Wojna włosko-abisyńska nie była, według oświadczeń Mussoliniego wojną a tylko wyprawą kolonialną, która udaremniła agresję Abisyńczyków. A więc działalność prewencyjna, której żadną miarą Włosi nie podciągną pod kategorię pojęć wojny: wojny nikt nie wypowiadał. Liga Narodów wprawdzie zaordynowała sankcje, koniec końców wycofała się jednak z tego stanowiska, narażając siebie i swoją tradycyjną politykę na wielką kompromitację. Uznała zasadę: „siła przed prawem”.

Niemcy, jednostronnie a systematycznie, wykuszają postanowienia Traktatu Wersalskiego: złamały część V, dozbroili się, ogłosz

siły powszechną służbę wojskową, zajęły Nadrenię (oświadczając zresztą, że jest to „symboliczna” reokupacja), zniosły serwituty płynące z umiędzynarodowienia rzek na ich terytorium.

Zrobiły to samodzielnie i bez pertraktacji. Porównajmy z epoką briandowską, epoką umów, paktów, porozumień już nie tylko bilateralnych ale multilateralnych — różnica poważna, coś się w technice dyplomatycznej zmieniło. Scena genewska usunęła się ze środka Europy, nadlemańskie turnieje straciły swą atrakcyjność a przedewszystkim rolę czynnika organizującego.

To co jest istotą dyplomacji — pokojowe negocjacje, nie miały w przytoczonych tu wypadkach żadnego zastosowania, więcej, bo to, co było uważane za rzecz leżącą na pograniczu już dyplomacji — negocjacje z groźbą użycia siły, również nie miały zastosowania. Zastąpione one zostały poprostu użyciem siły.

System zamachu stanu (w znaczeniu międzynarodowym) stał się procedurą normalną. *Coup d'Etat* znany jest co prawda od niepamiętnej starożytności, piękne tego przykłady cytuje Macchiavel, choćby Agatoklesa sycylijskiego, ale nie był zjawiskiem nagminnym, wprost przeciwnie, wyjątkowym, budzącym sensację i zgorszenie międzynarodowego sumienia prawniczo-dyplomatycznego.

Gdy Rosja jednostronnie uwolniła się w r. 1871 od postanowień Traktatu Paryskiego (1856) dotyczącego zdemilitaryzowania morza Czarnego, państwa europejskie nie uznały tego postępowania za zgodne z prawem; zwołały specjalną konferencję do Londynu (zwaną w prawie międzynarodowym — Pontyjską) na której postępek ten uznano jako samowolę, przeciwną prawu.

Niestety, ograniczono się do nieuznania tezy Gorczakowa, fakt natomiast uznano i zalegalizowano. W poczuciu ówczesnych rządów był to wybryk „nieeuropejski”, wschodni, wymagający natychmiastowego załatwienia wielostronnego i zasadniczego.

Dziś, w obronie nienaruszalności traktatów nikt nie stanie. Protestuje się tu i ówdzie dla przyzwoitości, uznając w skrytości ducha zasadę, że prawo międzynarodowe jest mniej prawem a więcej siłą.

A zmiany osiągnięte tą właśnie wojenną dyplomacją nie są bynajmniej małe: Japonia zmieniła zasadniczo obraz stosunków na Dalekim Wschodzie, osiągnęła cel o który walczyła, ze zmiennym szczęściem, od roku 1895; Włochy wywróciły wiekowy układ sił na morzu Śródziemnym, wykreśliły z mapy ostatnie wolne państwo afrykańskie; Niemcy zniweczyły układ sił Europy, stworzony przez wynik wielkiej wojny.

Tego nie można porównać z tym, co robił

niegdyś w ten sam sposób Ludwik XIV. Cóż znaczy odebranie Strasburga czy innych mikroorganizmów?

Stosowanie siły nie jest wyłączną, choć podstawową, metodą przejętą przez dyplomację od wojska. I inne elementy strategii przedostały się do niej, na przykład stosowanie zaskoczenia.

Japonia atakuje problem mandżurski po buncie we flocie angielskiej i w momencie opuszczenia przez Anglię złotego standardu; Włochy miały z tym — ze względu na większe trudności ukrycia akcji i duże odległości — więcej kłopotu; przecież jednak, przygotowawszy sobie grunt we Francji w styczniu, czekały na moment zaskoczenia i znalazły go, uderzyły, gdy w Anglii były wybory; Niemcy wykorzystały rozdźwięki włosko-francuskie (upadek Laval) i również wybory we Francji.

Dyplomacja militaryzuje się i upaństwia, tak — upaństwia. Zawsze była wyrazicielką interesów konkretnego państwa, do tego była powołana, ale potrochu, z rozwojem prawa narodów, nabierała poloru kosmopolitycznego, skłonna była do wyrzeczenia się — choć w bardzo rzadkich wypadkach — suwerenności własnego państwa na rzecz organów międzynarodowych: stałych trybunałów sprawiedliwości, różnych komisji międzynarodowych, no i samej Ligi Narodów.

Próba idylli zakończyła się szybko. Dyplomacja, wytwór państwa, wróciła do swej właściwej roli reprezentowania interesów państwa, pozostawiając, może narazie tylko, troskę o interes całego świata nieznanemu spadkobiercy.

Dlaczego tak się stało? Jak zwykle w sprawach ludzkich, powodów bardzo wiele, jeden z nich jednak jest najoczywistszy.

Państwa, które tę politykę zainicjowały, to państwa totalne, a totalne państwo w czasie pokoju jest przygotowaniem do totalnej wojny. Wojsko i jego metody przenikają do wszystkich funkcji państwowych więc i do dyplomacji.

Właściwie może nie było by przesadą powiedzieć, że istnienie państw totalnych (z uwzględnieniem obecnych stosunków międzynarodowych) oznacza istnienie stanu wojennego; wojna to bez bitew co prawda ale w każdym razie wojna. Dyplomacja zamachów stanu zdaje się potwierdzać pesymistyczną ocenę historii, że nie ma okresów wojny i pokoju, są tylko okresy wojny i nie wojny, w tym drugim nie słychać szczyku oręża, można dosłyszeć natomiast zgiełk maszyn produkujących narzędzia wojny.

Dlatego *Coup d'Etat* w stosunkach między narodami nie jest dziś rzadkością.

A my sasiadujemy z dwoma państwami totalnymi. (36)

KIEROWNICTWO A ZESPÓŁ

Zagadnienie wzajemnego stosunku kierownictwa i zespołu przybiera dwie — zgoła odrębne — postaci w zależności od tego, jakie treści reprezentuje grupa.

Gdy przypatrzymy się strukturze i składowi personalnemu jakiegoś np. towarzystwa muzycznego, to stwierdzimy, że elementy organizacyjne w zasadzie nie nasuwają większych trudności i komplikacji. Rozstrzyga najczęściej zasada możliwie największej kompetencji w obsadzie stanowisk kierowniczych. Nikt — kto rozumny i nie specjalnie przewrotny — nie ma zamiaru buntować się czy też spiskować przeciwko — dyrygentowi, którego kwalifikacje, zarówno muzyczne, jak i organizatorskie, zyskują w grupie powszechne uznanie. Jest ono właśnie refleksem kompetencji kierownika.

Sprawa rysuje się wtedy jasno i wyraźnie: pełne zaufanie grupy do najlepiej — w danych warunkach — wykwalifikowanego kierownika, przy czym kwestia sposobu doboru kierownika nie odgrywa tu większej roli.

Grupom najrozmaitszym — zawsze jednak o konkretnych zadaniach — przeciwstawiają się grupy polityczne. Można by nawet — z tego punktu widzenia — wskazać na stały element tarć lub napięcia — bardziej czy mniej utajonego — między kierownictwem a grupą, jako na charakterystyczny rys zespołów politycznych. A w każdym bądź razie bezspornie stwierdzić można, że w tych grupach ów element napięcia występuje najdobitniej i najregularniej.

Stajemy tu przed zagadnieniem najbardziej podstawowym w zakresie myśli politycznej. W odpowiednio też potężnych wymiarach wyłaniają się jego perspektywy.

Ileż to wspaniałych, dalekorzutnych planów runęło zaraz w przedwstępnym stadium realizacyjnym jedynie i wyłącznie dlatego, że kierownictwo nie umiało skanalizować oporów grupy, które to opory wyrastały z niechęci personalnej natury w stosunku do kierownictwa, a nie jakichś zasadniczych sprzeciwów wobec planowanych działań?!

Nie dość bowiem jest powziąć plan pełen rozmachu, trzeba przede wszystkim stworzyć, przygotować odpowiednie warunki dla realizacji planu.

Wśród tych zaś okoliczności pierwsorzędne znaczenie mają właśnie owe napięcia między grupą a jej kierownictwem. Doniosłości tego czynnika nie wolno lekceważyć nawet w tym wypadku, jeśli realizacja projektów kierownictwa nie wymaga aktywnego współdziałania całej grupy, a idzie tylko o to, by ona przeszkadzała ekipie kierowniczej w pracy realizatorskiej.

Nawet samo — niekoniecznie wrogie, lecz choćby — nieprzychylnie nastawienie stosunkowe stwarza atmosferę ciężką i niesprzyjającą powodzeniu poczynań twórczych kierowniczego elementu.

Ileż to dopiero energii zużywać musi kierownictwo dla przeprowadzenia swych zadań, jeżeli grupa rzuca wciąż nowe — niesłychana jest na tym polu „pomysłowość“ ludzka — kłody wszelkim twórczym zamierzeniom, tkwiąc w bagienku marazmu i inercji!?

I nierzadko tak bywa, iż wszystkie wysiłki przewodników idą na pokonywanie tych zawad i przeszkód, a efekt planowanej pracy równa się wówczas — zeru. Po prostu — nie ruszono z miejsca!

Obmyślenia środków przewyciężenia tych tarć między grupą a jej kierownictwem — aktualnym lub postulowanym — poświęcono wiele czasu i dobrej woli obok przygotowania teoretycznego.

Jako aksjomat można by tu przyjąć, iż *à la longue* nie wydają się skuteczne środki, oparte jedynie na gwałcie i przemocy,

a nasuwające się — niejako mimo woli — w ślepej pasji tworzenia.

Niewątpliwie trudno jest podawać receptę na wszelkie możliwe sytuacje i dla najrozmaitszych w czasie i przestrzeni grup politycznych. Dokładna i ścisła analiza konkretnego podłoża musi zawsze poprzedzać dobór środków działania. Zapewne, są sytuacje, z których inaczej nie można wybrnąć, jak tylko posługując się przymusem. Nie mniej roztropny mąż stanu ucieknie się do tego oręża jedynie w wypadkach ostatecznych. Wszak i trucizna w drobnych dawkach wkomponowana w miksturę — może okazać się zbawiennym lekarstwem.

Jak trafnie — jednakże — zauważa p. Antoni Plutyński w swych „Rozmyślaniach nad ustrojem narodowym“ („Droga“, nr. 1—2, 1937): „...im bezwzględniej elita władczą narzuca wolę swą społeczeństwu, tym większy zasób energii i czasu, zarówno tej elity jak opozycyjnego społeczeństwa, zużywa się na tę walkę ze szkodą dla zadań ogólnonarodowych“.

Sposoby za tym zapewnienia stanu względnie trwałej równowagi ustrojowej (w skrócie i zamiast — między ekipą kierowniczą a grupą) muszą być zaczerpnięte z innego zgoła repertuaru.

Zanim jednak do niego przejdziemy, zrekapitułujmy króciutko elementy naszego zagadnienia.

W poprzednim artykule p. t. „Wybory czy wyznaczenie“ („Zaczn“, Nr. 12 (17) powiedzieliśmy, że dwie są w zasadzie możliwości doboru ekipy kierowniczej: wyznaczenie przez kompetentnych i wybór przez ogół. Szło nam, oczywiście, o dychotomię, przeprowadzoną z teoretycznego punktu widzenia.

Niezbyt w myśleniu państwowym wytrenowany czytelnik z łatwością mógł zauważyć: „zapomniał, kochany pan, o wielu innych możliwościach, np. o wyznaczeniu przez niekompetentnych“.

Uwaga jest słuszna jedynie — pozornie. Pisałem bowiem zaraz w następnym zdaniu: Te dwie możliwości redukują się do jednej, jeśli założymy wymóg sensowności.

Otóż ten moment rozstrzyga o dychotomii. Wyróżniamy bądź wyznaczenie przez kompetentnych, bądź — wszelkie inne sposoby doboru kierownika. Tu mieści się też wyznaczenie przez niekompetentnych. W rzeczywistości bowiem nie różni się ono w y n i k i e m (a ten stanowi kryterium podziału) od wyboru przez ogół. Oczywiście, różne są działania w obu wypadkach, nas jednak nie interesowały poszczególne ogniwa łańcucha wydarzeń, jeno w y l ą c z n i e ich efekt. A ten bywa w zasadzie taki sam w omawianych ewentualnościach: kierownicy niekompetentni.

Różnica sytuacji, stworzonych przez ten wynik, sprowadza się do tego, że niekompetentny kierownik w y z n a c z o n y nie ma za sobą poparcia wyborców, którym dysponuje o tych samych kwalifikacjach wprawdzie, ale w y b r a n y kierownik.

Tak zatem owo poparcie było by tą okolicznością, która by miała przemawiać za w y b o r a m i jako sposobem ustanawiania kierownika.

W cytowanym artykule próbowaliśmy rozważyć ten problem możliwie obiektywnie i wszechstronnie. W rezultacie stwierdziliśmy, że szanse doboru najkompetentniejszego za pomocą wyborczych metod selekcyjnych, są minimalne. Wobec tego opowiedzieliśmy się za zasadą wyznaczenia przez kompetentnych. I tu z całym naciskiem musimy podkreślić: niewyznaczenie przez kogokolwiek, lecz przez k o m p e t e n t n y c h.

Problem więc przybiera określone oblicze. Stawiając tak bowiem sprawę, rezy-

gnuje się z owego argumentu wspierającego zasadność wyborów (poparcie wyborców) wobec tego, że znaczenie p i e r w s z o r z ę d n e i istotne ma zagadnienie doboru właściwej, t. j. w naszym rozumieniu możliwie najkompetentniejszej ekipy kierowniczej, a dopiero na drugim planie — rysuje się kwestia równowagi ustrojowej.

Dla każdego bowiem, nie pozbawionego zdrowego rozsądku, jasne jest, że o małej atrakcyjności są względy równowagi ustrojowej, wówczas kiedy mają ją okupić bezwładność i zastój, już nie mówiąc o uwstecznieniu, lub zgoła gwałtownym cofaniu się na drodze kulturalnej (w najszerszym sensie).

Ale nawet — doceniając w pełni znaczenie owego poparcia, głównie moralnego, wyborców, nie podobna nie dostrzegać ka pryśności sympatii i antypatii mas. Trudno tu mówić o stałości, a chyba tylko regularności zmian można by dowodzić.

Bardzo pouczające pod tym względem są doświadczenia państw o dwóch (lub trzech) partiach politycznych. Mamy tu na myśli przede wszystkim Wielką Brytanię. Na jej dziejach politycznych można z łatwością prześledzić mechanizm odplywów i przypliwów sympatii politycznych szerokich mas społecznych. Jak to kolejno konserwatyści obejmowali władzę po liberałach.

Oczywista, ta zmienność daje się ostatecznie też — ze stanowiska długofalowości — ująć w pewne stałe ramy. Ta satysfakcja teoretyka jest jednak małą pociechą dla zatroskanego o dobro całej społeczności państwowej. Niezbyt bowiem radosne perspektywy budzi widok kolejnego umowania steru rządów przez przywódców skrajnie przeciwne poglądy reprezentujących partii. A jeśli ostateczny wynik podobnego biegu rzeczy nie był groźny dla rozwoju państwowego Anglii, to przyczyny tego należy szukać w sferze innych — a nie ustrojowych — czynników.

Owe zmiany cykliczne form ustrojowych, czy środowisk, skąd czerpie się ekipy kierownicze, tłumaczy się zwykle wiecznym n i e z a d o w o l e n i e m rządowych. W aktach wyborczych ma się wyładowywać — twierdzą niektórzy „teoretycy“ — ów stały podkład psychiczny napięć i tarć między grupą a kierownictwem.

Takie traktowanie zagadnienia przeraża swą rozbijającą naiwnością. Przesuwa się bowiem problematykę na płaszczyznę zabaw i gier dziecięcych. A stawka, o którą się „gra“ toczy tymczasem zgoła nie jest dziecinna. Rzucić najbardziej podstawowe sprawy państwowe w wir lekkomyślnych i trzpiotowatych „rozgrywek“.

Takie stanowisko nie wymaga komentarzy.

Kto ma dobro ogółu naprawdę na oku i dąży do zrealizowania jasno zarysowanego planu państwowego, a nie tylko do przetrwania z dnia na dzień „aby żyć“, nie dostrzegając grozy takiej sytuacji, ten musi przyznać, że nie w sferze „łagodnych eksperymentów wyborczych“ leży droga ustalenia równowagi ustrojowej.

Dobitną ilustracją innego układu rzeczy — w innej co prawda dziedzinie życia społecznego — jest organizacja Kościoła Katolickiego. Interesuje nas tu jednak nie treść, lecz struktura grupy, i dlatego posługujemy się tym przykładem. Otóż *postestatem in Ecclesia* ma tylko kler, a *laici* mimo to nie buntują się niemal nigdy przeciw władzy. Ład organizacyjny bywa w sposób wzorowy zachowany.

Gdzie tkwi tajemnica tej równowagi ustrojowej? Naszym zdaniem — tylko w trafnie dokonywanych procesach selekcyjnych. Skombinowanie zasady elekcyjnej z wyznaczeniem najwyraźniej uwydatnia się w wyborze papieża przez konklawe kardynałów. Mamy tu może najbardziej charak-

terystyczny przykład ustanowienia kierownika przez najkompetentniejszych w danym zakresie. Rys bowiem demokratyczny kościoła katolickiego polega na tym, że w zasadzie wszyscy z pośród wiernych, którzy zadość uczynią pewnym warunkom rzeczowo uzasadnionym (brak rażącej ułomności cielesnej, wykształcenie „fachowe“, i t. d.), mają dostęp do godności kościelnej. Ustanowienie natomiast kierowników (tu: „pastery“) wyjęte jest z pod wpływu niekompetentnego, rządzącego się emocjami przeważnie i odruchami, ogółu wiernych. Już bowiem samo podłoże nazbyt tu sprzyja krzewieniu się demagogii, złej woli i t. p.

Ale i w dziedzinie życia społecznego bezpośrednio nas tu interesującej mamy przykłady niezmiernie pouczające. Oto znana jest w ustrojach parlamentarnej demokracji instytucja: „gabinetów fachowców“. Kiedy rozbieżności partii skrajnych o mniej więcej wyrównanych siłach dochodzą do zenitu, wówczas sięga się do wypróbowanego środka uśmierzania temperamentów politycznych.

Gabinety fachowców potrafią skupić całą społeczność państwową — mimo że nie

posługują się barwnymi smugami frezologii partyjnej, czy zgoła — potęgą mitów. Od czasów bowiem, kiedy Sorel teoretycznie, a inni — dobrze znani — praktycznie zaczęli realizować hasło jednoczenia społeczeństw przy pomocy mitów, szerzy się przekonanie, jakoby jedynym sposobem scalania, zespalania społeczności państwowych były owe — przemożne mity.

Niewątpliwie na krótką metę okazała się ta wiara — słuszną. Ale jeśli idzie o dalsze perspektywy, to tu rozstrzygająca wydaje się ta okoliczność, że mity przecież mogą wyrastać jak grzyby po deszczu. A rywalizacja grup, skupianych pod sztandarem rozmaitych, przeciwstawiających się sobie nawzajem, mitów, może doprowadzić do sytuacji, o których nawet się nie śniło twórcom i propagatorom olśniewających masy bajek XX. w. I miast do zespolenia, prowadzą one do jak najostrzejszych antagonizmów.

Zgiełk i rwetes wokół rac, mitów i innych frazesów przyglusza istotne wartości. Tak np. instytucja gabinetów fachowców jest zarodkiem, który zasługuje na tym większą uwagę, im bardziej niesprzyjająca była at-

mosfera jego wzrostu. Jeśli mimo to nic nie potrafiło przygnieść wykwit tu i ówdzie (ostatnio np. belgijski rząd van Zeelanda do pewnego stopnia) tej instytucji, to jest to najlepszy dowód jej racjonalności i przydatności.

Spółczeństwo nie jest w zupełności obojętne na argumentację zdrowego rozsądku. Jeśli faktycznie ekipa kierownicza składa się z jednostek najbardziej — możliwie — kompetentnych, wówczas są wszelkie zadatki na to, by przy rozwinięciu odpowiedniej akcji uświadamiającej ogół — uzyskać jego poparcie.

Drogi zatem trwałej równowagi ustrojowej są następujące: dobór właściwego — rzeczowo i obiektywnie biorąc — kierownictwa, jasno wykreślony plan działania, który nawet nie może być znany ogółowi, przekonywanie ogółu nie tylko słowem, ale przede wszystkim czynami, że ster spraw jest w dobrych rękach.

W żadnym jednak wypadku nie można lekceważyć reakcji zespołu pod grozą sparyalizowania akcji kierownictwa. (119).

KTO I JAK RZĄDZI MYŚLAMI MILIONÓW?*)

III. PSYCHOLOGIA PROPAGANDY

HITLER O PROPAGANDZIE

Fryderyk Wielki pisał w jednym ze swych listów do Woltera: „Patrzę na ludzi jak na stado jeleni“. Wielu współczesnych mężów stanu nie myśli zapewne inaczej, ale zazdrośnie strzeże tajemnicy swego poglądu na tłum ludzki, bo od niego zależy. Fryderyk był w lepszej pozycji, żył w epoce, która nie nakazywała mu tej zależności, mógł być szczery, co przychodziło mu tym łatwiej, że hipokryzją żyć musiał w innych rejonach.

Dziś każda władza potrzebuje „dołów“ i — co za paradoks — tym bardziej ich potrzebuje, im jest silniejsza, więcej dyktatorska; bez dołów rządu autorytatywne wiszą w próżni. Nic więc dziwnego, że najwięksi dyktatorzy są w jednej osobie najrasowszymi agitatorami: Mussolini ze wspaniałym gestem i teatralnymi dytyrambami, odmierzonymi dla smaku południowców, Hitler z mistyką i patosem, uwodzającym pruskie dusze, i Stalin — tajemniczy, niezgłębiony a swojski zarazem dla kazańskiego muzyka. Oddamy więc na wstępie głos Hitlerowi: teoretykowi i zwycięskiemu praktykowi propagandy.

„Nie jest zadaniem propagandy liczyć się z rozlicznymi prawami. Przeciwnie, musi ona wyłącznie podkreślać nową pozycję przez nią bronioną... Propaganda musi być skierowana wyłącznie do mas... Dla intelektualistów jest nauka a nie propaganda... Propaganda nie jest nauką... Nie jest zadaniem propagandy kształcenie naukowe poszczególnych jednostek, ale ukazanie masom pewnych faktów, procesów lub potrzeb, które winny być zrealizowane w interesie mas... Propaganda ma być kierowana do emocji a w małych tylko rozmiarach do tego, co nazywamy umysłem... Wielkość każdej organizacji w jej ucieleśnianiu idei tego świata, leży we wzbudzaniu religijnego fanatyzmu dla niej, nie tolerowania niczego poza nią... Propaganda musi być tak prowadzona, aby była dostępna dla najmniej inteligentnej jednostki z tej masy, a ma być tak często powtarzana aż stanie się częścią jej własnej duszy“. („Mein Kampf“).

Mamy tu więc wprowadzenie, odkrycie przed oczyma laika pewnych tajemnic zdobywania dusz. Proszę sobie samemu potym

komentować powyższe teksty i... wierzyć im ze względu na autorytet niezaprzeczonego autora. Do pomocy zaś, aby nie było już żadnych wątpliwości co do charakteru propagandy, przytoczę słowa jednego z niemieckich komentatorów Hitlera — Gerhard'a Freiherr'a Branca: „W religii także naprzód zjawia się prorok, widzący Boga, następnie dopiero przychodzi teolog, przerabiający objawienia na dogmaty. Narodowy socjalizm jest stosunkiem człowieka do życia, a jego korzenie spoczywają nie w płaszczyźnie rozumowego poznania lecz w dziedzinie wiary... („Der Staatsgedanke des Dritten Reichs“). A teraz przyjrzyjmy się „na wyrywki“ niektórym rzeczom z tej dziedziny.

OBYWATEL ANTONI — WIELOKROTNA INDYWIDUALNOŚĆ

Znamy wszyscy na pamięć westchnienie: „ach, człowiek jest taki skomplikowany“. Wyrywa się ono przeważnie wtedy, gdy ów wzdychający (pana zecera proszę o nieopuszczenie litery „w“) nie może zrozumieć czyichś motywów. Znajomość wszystkich motywów ludzkich postępów jest zaś nieodzowna, może nie dla agitatora, ale na pewno dla kierownika kampanii propagandowej.

Mylne jest mniemanie, że propaganda jest kierowana na masy jednostek, że wmaswia się, prosi i grozi pod adresem poszczególnych person. Nic podobnego. Ostrze propagandy kieruje się do istot nie posiadających własnego bytu, gros sugestii więźnie nie w duszy obywatela Antoniego a tylko w jednej z jego dusz. Bo z punktu widzenia propagandy człowiek ma wiele dusz. Aby nie straszyć nikogo mistyką zademonstrujemy przykład.

Wyobraźmy sobie jakiegoś obywatela Antoniego, lat 52, powiedzmy, emeryta kolejowego, o poglądach trochę konserwatywnych, a więc figurę najzupełniej realną.

Rząd chce obniżyć emerytury. Obywatel Antoni protestuje wraz z całym związkiem emerytów, popiera akcję przeciw obniżce emerytur. Ponieważ mieszka w Krakowie, poszedł na odczyt b. min. Matuszewskiego, który mówił o kapitalizacji wewnętrznej. Przemówieniem był oczarowany, wymową logiki przekonany; bił brawo wraz z całą salą i — gdyby min. Matuszewski założył nową partię, zapisał by się jeden z pierwszych.

Obywatel Antoni, idąc przeciw obniżce emerytur, walczył o wysokie obciążenia

budżetowe, oklaskując Matuszewskiego, szermierza deflacji, stawał po stronie zwolenników niskich obciążeń.

Jako polityk gotów jest popierać Kościół i Akcję Katolicką w rozumieniu jej doniosłej roli w chronieniu społeczeństwa przed zbyt radykalnymi porywami. Kościół to potęga.

A sam rozwiódł się w kościele ewangelickim. Zarazem nie czuje się, przy tym zbiegu przypadków, hipokrytą i nim nie jest.

Jako dobry Polak cieszy się, że państwo polskie wykupiło „Wspólnotę Interesów“, jest uradowany naprawdę i szczerze; w dyskusji, w swoim klubie urzędniczym, atakuje ostro prelegenta, rozwijającego społecznie radykalne idee, wykpiwa go; pan Antoni ucieszył się więc z największego aktu etatystycznego, jaki dokonał się w Rzeczypospolitej, i tenże pan Antoni oburzał się jednocześnie na „etatystyczne kombinacje niepoprawnych doktrynerów“. I tak dalej, możnaby dzielić duszę obywatela Antoniego.

W ten sposób może on w prasie argumentować przeciw sobie, przeciw sobie mówić w Sejmie, w wyborach głosować przeciw sobie. Może być sto razy etatystą, dwieście razy konserwatystą, raz katolikiem, a dwa ewangelikiem, zachowując przy tym, — to trzeba podkreślić — stały system myślowy. Być może, że w sprawach najwyższych będzie konsekwentny, nigdy w sprawach drobnych, codziennych, nigdy w sprawach posiadających charakter wspomnianego wykupienia „Wspólnoty Interesów“.

Rzecz propagandy jest, w zależności od potrzeby, agitować jedną z niezliczonych dusz obywatela Antoniego, zwracać się do niego raz jako dla Polaka, drugi raz — jako ojca rodziny, sportowca, mieszkańca miasta Krakowa, członka Towarzystwa Metapsychicznego, zapalonego zbieracza fajek porcelanowych i t. d.

Nie krępować się sprzecznością niektórych żądań i apelów, nic nie szkodzi, aby tylko każdy apel trafił na którąś strunę osobowości, a wtedy wszystko będzie w porządku. Bo nie obywatele łączą się w akcji politycznej a ich impulsy, które często u tej samej osoby bywają różne.

SYMBOLIKA

Nie ma wielkiej propagandy bez symboliki. Natura ludzka jest już taka, że entuzjazmuje się fetyszami. Dobrze będzie powiedzieć żołnierzowi: „szanuj swój pułk“,

*) Patrz Nr 13 (18) „Zaczyn“.

ale lepiej — wyprowadzić przy biciu w bębny, sztandar pułkowy okryty chwałą bitewną — to zrobi lepsze wrażenie.

Rozumnie będzie kazać modlić się do Boga niewidzialnego, ale skuteczniej — przed figuralnym wyobrażeniem Jego.

Propaganda zna już oddawna wartość symbolu. Symbol to niezgłębiona kopalnia wzruszeń emocjonalnych. Jest on monetą obiegową propagandy. Często jest to słowo lub zdanie: „prohibicja“, „demokracja“, „Ameryka dla Amerykanów“, „Pasta Miki czyści trzewiki“, „Narodowi socjaliści najpierw robią a potem filozofują“. Koło takich słów owinie się cała akcja.

Tłum żywa się z hasłem, uznaje za swoje, staje się ono skrótem wyrażającym długą i skomplikowaną treść.

Może to być również znak: niebieski orzeł rooseveltowskiej NIRA, swastyka, sierp i młot, krzyż chrześcijański, torii szintoickie. Swastyka naprzykład odczuwana jest przez Niemców niemal sakralnie, kto wie, ile usługi oddał ten kształt sprawie narodowego socjalizmu.

Może też być rzecz jakaś: wóz Drzymayły, kamień w Kaabie, słup graniczny (proszę się zastanowić, jak wielki ładunek uczuciowy wyzwała się na widok słupa granicznego, wywróconego przez nieprzyjaciela).

Najpotężniejszym jednak symbolem jest osoba. Jeśli człowiek jakiś staje się ucieleśnieniem idei czy akcji, syntezą — wtedy propaganda staje przed zadaniem bardzo ułatwionym.

Nie trzeba chyba tłumaczyć, czym był dla nas Marszałek Piłsudski, czym jest dla Niemców Hitler, dla Turków — Kemal Pasza, dla Włoch — il Duce.

Amerykanie, znajdujący się najlepiej na propagandzie i na psychologicznych „chwytach“, pozbawieni poza tym skrupułów i traktujący wszystko jako „business is business“ — skwapliwie korzystali z każdej osoby, mogącej stać się symbolem, a gdy takiej nie było, fabrykowali po prostu mitologiczną postać, sztukując i przykrawając postać rzeczywistą do potrzeb propagandy. Jest to oczywiście szwindel, który prędzej czy później będzie zdemaskowany, ale w momencie akcji przynosi korzyść.

Prezydenta Coolidge'a wybrano pod hasłem: „silny, milczący człowiek“ („strong silent man“) — a nie było bodaj słabszego i więcej bezbarwnego prezydenta.

Z Hoover'a zrobiono nadczłowieka („superman“): „Herbert Hoover, cudowny człowiek, doskonała maszyna, ludzka, pozbawiona błędów, zdolna do wizji, sięgających granic kosmosu“ (!).

W Europie dzieje się, jak dotąd, na odwrót: wielcy ludzie stają się wielkimi dzięki sobie i dopiero z biegiem czasu propaganda przybiega na pomoc i to nie im, ale raczej otaczającym ich panteonom, tworząc mit „żelaznej gwardii“, „elity ruchu“ i t. p.

W Niemczech robiono to przez dłuższy czas po objęciu władzy przez narodowych socjalistów i ze skutkiem doskonałym.

„Jest to zupełnie jasna — pisał dr. Dietrich, znany publicysta — i wiarogodna myśl, że stworzenie ruchu narodowo-socjalistycznego mogło być dokonane jedynie przez przywódców wyznaczonych przez Los“ (Frankfurter Zeitung 25. 2. 1934 r.).

SPOSOBY I SPOSOBIKI

Jest wiele krętych drózek, po których musi kroczyć strategia wmawiania i masa sposobów „czarowania tłumów“. Nie mogę tu ich rozwijać, przynajmniej więc wymienię kilka z nazwy.

Naiwnym bardzo było by używać stale metody bezpośredniego argumentowania i przekonywania. Wywoła to tylko antagonistyczny odruch. Ludzie coprawda chcą być przekonywani, ale za żadną cenę nie chcą o tym wiedzieć. Gdy powiem — „kup od mnie ten frak, bo ja go muszę sprzedać“, nagabywany odpowie: „a co mnie to obchodzi!“. Ale, gdy zamienię się w lisa

i rzeknę: „kup ten frak, leży na tobie doskonale, napewno będziesz podobał się twojej Helence“, to zaczniesz zastanawiać się. Wogóle, sposób mówienia do ludzi i przekonywania ich w formie świadomej techniki, jest zupełnie nieznanym szerszym kołom. Dużo o tym można znaleźć w książce: „How to win friends and influence people“ Dale Carnegie'go, doskonałej ilustracji przebiegu ducha Nowego Świata. Zasadą jest: ukrywać, że propaganda jest propagandą. Niech będzie czymkolwiek innym: artykułem „naukowym“, festynem ludowym, inżynieringiem, przedstawieniem, dyskusją, ale nie propagandą.

W wypadku, gdy pewna część opinii publicznej ma już ugruntowane przekonania, przychodzenie z kontrprzekonaniami nie ma sensu. Trzeba najprzód zburzyć lub naruszyć istniejące przekonania przez cały szereg stopni przychylnych krytyk od najentuzjastyczniejszych do najsurowszych, ale nie wyłamujących się z meritum przeświadczeń opinii. Potym idzie kontrpropaganda, że to jest złe, tamto nieprawdziwe, a dopiero na końcu rzuca się kontrprzekonanie.

Mówiąc o opinii publicznej, trzeba zdać sobie sprawę, że „publika“ jest konglomeratem. Inną drogą idzie się do intelektualistów, inną do dziwaków i indywidualistów (i ich przecież też zdobyć trzeba), inną do kobiet, inną do młodzieży i t. p.

Raz się wykorzystuje prestiż i autorytet, innym razem sentyment („doskonale“ to zrobił ów żydowski eksporter pomarańczy, umieszczając na bibułkach orla polskiego i inicjały J. P.), cytata z Biblii (częste zjawisko w krajach anglosaskich); czasem trzeba odwołać się do „wielkiej przeszłości“, innym razem do analogii (Piłsudski — Batory — Sejm).

Na skandalu traci się zwykle, można jednak i zarobić, gra jest ryzykowna, ale procentuje świetnie. Dorio np. zarobił na ucieczce z partii komunistycznej, dziś jest we Francji uważany za człowieka przyszłości. Gwiazdy filmowe, tracące popularność, sta-

le chwytają się tego środka, bo jak mówi przysłowie: tonący i brzytwy się chwytą.

Doskonała jest propaganda „twarz w twarz“, stosowana tylko do osób wpływowych i znanych i tylko przez jednostki o wybitnym charakterze i silnej psychice.

Marszałek Piłsudski miał to w sobie. Piłszo o tym lord d'Abernoon: „Znamiennym jest, iż Marszałek Piłsudski odnosi zawsze zupełną przewagę moralną nad zagranicznymi wojskowymi, którzy się z nim stykają. Generał Henrys uwielbia go, a Szef Brytyjskiej Misji Wojskowej, generał Carton de Wiart, człowiek odznaczający się niezależnością poglądów, oczarowany był tym przedziwnym fenomenem polskim“.

To samo miał w sobie Napoleon. Gdy wyruszył z Elby, Paryż wysłał przeciw niemu Ney'a, zaklinającego się, że przywiezie Napoleona w klatce. Wystarczyło, że go ujrzał, a zapomniał o zakłęciach.

Wreszcie do znanych w Polsce tricków propagandowych, stosowanych zwłaszcza przez pewne stronnictwo, jest identyfikowanie interesów grupy z interesem całego narodu: co przynosi korzyść części, jest korzyścią całości, co szkodzi części, szkodzi wszystkim.

Wybiegów takich i im podobnych jest sporo, świadcząc, że gromady ludzkie nie kierują się, niestety, racjonalnością, jak sądzili niektórzy psychologowie XVIII wieku. Im to zresztą dał odprawę już Wolter w pewnym opowiadanku. „Bohater wolterowski Kakomba, postawiony przed oblicze hordy ludożerców, którzy czynią przygotowania do tego, aby go zjeść, rozpoczyna interesującą przemowę, zaczynającą się od słów „panowie“, w której na zasadzie prawa naturalnego i szeregu przesłanek z niego wyprowadzonych dochodzi do wniosku, że Kanibale winni zjadać tylko jezuitów, a ponieważ on nie jest jezuitą, przeto nie należy piec go na rożnie. Ludożercy uważają powyższe przemówienie, jako słusze i z okrzykami radości zwalniają Kakombę“.

(cyt. z B. Russel'a).

(d. c. n.)

KONSOLIDACJA CZY AMNESTIA?

Na ostatnim posiedzeniu plenarnym Sejmu w dniu 23 marca b. r. poseł Czesław Dębicki poddał ostrej krytyce politykę budżetową i finansową min. Zawadzkiego w okresie 1934/35 r. Mówił o wielkim deficycie budżetowym, o rzekomym fiskalizmie min. Zawadzkiego, o osiągnięciu ze wszystkich źródeł wpływów budżetowych, przewyższających preliminowane.

Rozwodził się długo poseł Dębicki nad Pożyczką Narodową, „drenażem rynku wewnętrznego“ i t. d.

Wreszcie na zakończenie swego przemówienia powiedział, co następuje:

„Na przestrzeni kilku lat urzędowania p. Ministra Skarbu Zawadzkiego, widziemy stały odpływ złota i walut z kraju, skonsumowanie wszystkich rezerw.

Na podstawie tych wywodów muszę stwierdzić, że gospodarka finansowa p. Zawadzkiego była niezapobiegliwa i zła.

Prezes N. I. K. powiedział w Sejmie: N. I. K. daje materiał — Sejm wyciąga wniosek. Na podstawie analizy tego materiału, który tu przytoczyłem, powinienem postawić wniosek o pociągnięcie ówczesnego Ministra Skarbu p. Zawadzkiego do odpowiedzialności konstytucyjnej. Nie stawiam tego wniosku dlatego, że nie chcę robić sensacji w momencie konsolidacji narodu, w momencie, gdy cały naród skupia się, by zwalczyć to, co jest złe, by wspólnym wysiłkiem i zje-

dnoczoną wolą — w myśl wskazań Marszałka Smigłego-Rydzia — podciągnąć Polskę wzwyż“.

Oklaski.

W głosowaniu Sejm przyjął wniosek Komisji o zamknięcie rachunków za okres 1934/35 i udzielenie Rządowi absolutorium. Część posłów nie głosowała.

Po przeczytaniu tego nasuwa się bardzo wiele tematów do rozważań.

1) Co się tyczy fiskalizmu min. Zawadzkiego, uprawianego w roku 1934/35, mamy pewne wątpliwości. Że podatków wpłynęło więcej, niż preliminowano, świadczy to tylko o tym, że preliminarz był zbyt pesymistycznie ułożony w stosunku do stawek podatkowych. W historii skarbowości znane są liczne fakty oględne i pesymistyczne go preliminowania dochodów. A ponieważ potrzeby państwowe Polski są dalekie, bardzo dalekie, od stanu nasylenia, należało by może min. Zawadzkiemu postawić pomnik za przekroczenie preliminarza wpływów budżetowych. Ale my tego wniosku nie stawiamy, bo wpływy te, zdaniem naszym, musiały być jeszcze większe, niż osiągnięto. Nie chodzi nam tu specjalnie o rok 1934/35, lecz o całokształt polityki min. Zawadzkiego, który urzędował od 5. 9. 1932 r. do 12. 10. 1935 r. w czterech gabinetach (Prystora, Jędrzejewicza, Kozłowskiego i Sławka).

Za czasów min. Zawadzkiego grasował w skarbowości między innymi Michalski, którego sprawa jeszcze nie była dotychczas rozpatrywana w sądzie. Za czasów p. Zawadzkiego istniały szkodliwe stosunki w skarbowości, których omówieniu poświęciliśmy

w „Zacznicy“ szereg artykułów („Pan A. Lubowidzki ciągle swoje“, Nr. 2 (7); „Balada, Hellada i... liczydła“, Nr. 8 (13) i „Przedziwne rozumowanie“ Nr. 11/16).

Min. Zawadzki był milczącym świadkiem pewnych uzusów w skarbowości, którym daleko do nazwy fiskalizmu. Tak, pół na pół, trochę fiskalizmu, więcej — wyraźnego „antifiskalizmu“.

2) Co się tyczy przekroczenia przez min. Zawadzkiego prelimitowanych wydatków państwowych — to teza bardzo krucha. Skruszył już ją swym preudykatem sam Marszałek Józef Piłsudski, broniąc w swoim czasie przed Trybunałem Stanu min. Gabriela Czechowicza. Przecież min. Zawadzki wydawał pieniądze skarbowe na potrzeby państwowe.

3) Co się tyczy „drenażu rynku wewnętrznego“ i zadłużenia skarbu państwa, jest to przy gospodarce liberalnej i panującym zamęcie w „poglądach“ gospodarczych, przy braku wyraźnych i ścisłych państwowych planów w okresie urzędowania min. Zawadzkiego — pole do długoletnich harców dyskusyjnych, polemiki, i wielotomowych

wych pro i contra. To są momenty nieuchwytnie.

Nie widać miejsca dla min. Zawadzkiego w roli oskarżonego przed Trybunałem Stanu na podstawie zarzutów, stawianych przez posła Dębickiego.

Nie dziwimy się, że min. Zawadzki skwapliwie pochwylił rękawicę, którą poseł Dębicki wymachiwał (ale jej nie rzucił!) i w dn. 25 marca b. r. wystosował list do Marszałka Sejmu, wyrażając pełną gotowość stawienia się przed Trybunałem Stanu. To wygodna płaszczyna wobec charakteru argumentów p. Dębickiego!

Nie mamy żalu do posła Dębickiego z racji błahości jego argumentów. Jednak pointa jego przemówienia wywołała dreszcz u każdego państwowca. Poseł — do gruntu przekonany o szkodliwości dla państwa polityki min. Zawadzkiego — po sformułowaniu bardzo ciężkich zarzutów, mówi (że powtórzymy):

„Nie stawiam tego wniosku dlatego, że nie chcę robić sensacji w momencie konsolidacji narodu, w momencie, gdy cały naród skupia się, by zwalczyć to, co

jest złe, by wspólnym wysiłkiem i zjednoczoną wolą — w myśl wskazań Marszałka Śmigłego-Rydza — podciągnąć Polskę wzwyż“.

A Sejm klaska! A Sejm bije oklaski! To dla dobra konsolidacji i w imię zwalczania tego, „co jest złe“, poseł Dębicki uważa za stosowne wspaniałomyślnie „przebaczyć“, a Sejm oklaskami ogłasza amnestię!!!

Jaką to konsolidację mają na myśli p. Dębicki i oklaskujący Sejm?

Z jakiej racji demonstrujący p. Dębicki, czyniący jakąś rozgrywkę personalną, używa do tego imienia Wodza? Co ma wspólne konsolidacja z amnestiami pana Dębickiego i z bezmyślnie klaskającym Sejmem?

*

Sejm Sejmem, a skarbowość skarbowością. Chcielibyśmy usłyszeć wyjaśnienia min. Zawadzkiego jako świadka na dojrzałych i dojrzewających procesach sądowych, wytoczonych skarbowcom za popełnione nadużycia w okresie jego urzędowania. To by były rzeczy ciekawe!! Co tam „drenaż“!!! (77).

O WYPRAWIE KIJOWSKIEJ

Ukazało się już na półkach księgarskich znakomite dzieło *Generała br. Tadeusza Kutrzeby*, Komendanta Wyższej Szkoły Wojennej, p. t. „Wyprawa Kijowska“, z której ustęp wydrukowaliśmy pierwszy w N-rze 8(13) „Zaczynu“.

W jednym z najbliższych numerów umieścimy obszerniejsze sprawozdanie o tej niezmiernie ciekawej książce. Tymczasem przytaczamy jeden z ustępów.

OCENA KONCOWA I WNIOSKI

Mówiąc o „wyprawie kijowskiej“, nazwałem ją na wstępie mych rozważań — przegraną. Przegraną operacyjną i przegraną polityczną. Stawiam sobie pytanie i pragnę na nie dać odpowiedź, jakie kryteria skłaniają mnie do tego sądu. Sądzę, że nie zejść z drogi ścisłego wnioskowania, gdy stwierdzę, że „przegraną“ możemy nazwać działania, które nie osiągnęły zamierzonego celu, bez względu na to, czemu tak się stało. Rozstrzyga więc wynik ostateczny.

Wyprawa kijowska miała jakby trzy rodzaje celów: strategiczny, operacyjny i polityczny. W tych trzech kierunkach winny więc pójść moje dociekania.

CELE STRATEGICZNE WYPRAWY KIJOWSKIEJ

Celem strategicznym wyprawy kijowskiej — w moim mniemaniu — było narzucenie Rosji sowieckiej wojny w chwili dla niej najmniej wygodnej, było zmuszenie jej do kontynuowania wojny z nami w warunkach takich, które nam dawały wyższe niż normalnie szanse.

Pod tym względem wyprawa Kijowska osiągnęła swój cel całkowicie.

Rosja, trafiona w wrażliwe podstawy swej obrony, przyjęła wojnę, wbrew swojej

chęci rychłego zawarcia pokoju, i biła się z nami nieomal że bez liczebnej przewagi sił, a to wojskiem, które pod rozmaitymi względami stało poniżej jakości wojsk polskich. Potęga rosyjska, opierająca swą siłę zbrojną na masie ludności, która liczyła ponad 150 milionów, bije się jak równy z równym z „małą“ Polską, liczącą w roku 1920 około 30 milionów mieszkańców. Co więcej, musiała się Rosja bić „natychmiast“, nie mogła odłożyć starcia np. do lata 1920 roku, kiedy zdąży uruchomić stosowną przewagę liczebną. Wyprawa kijowska zmusiła Rosję do dalszej wojny, która została ogłoszona jako „święta“. Tylko dzięki dużym wysiłkom organizacyjnym rządu sowieckiego udało mu się w szybkim czasie uruchomić wystarczające siły, lecz w takiej tylko ilości i jakości, że zwyciężyć nie potrafiły, i w końcu — w październiku 1920 r. — musiały przyjąć rozejm a następnie pokój.

To zmuszenie Rosji do wojny w złych dla niej warunkach nastąpiło ponadto w czasie, gdy Europa Zachodnia, stała opiekunką spraw Wielkiej Rosji, w sposób stanowczy na jej korzyść nie wpływała i wpływać nie mogła. Mógł mieć Trocki wrażenie, że Polska jest przez Koalicję podtrzymywana, gdyż nie odczuwał on w dobie wyprawy kijowskiej, pro-rosyjskiego wpływu Koalicji, któryby nie pozwalał Polsce na rozprawę z Rosją. Wydaje mi się, że sytuacja była inna. Koalicja bowiem była tak zajęta „swoimi“ sprawami Zachodu, że musiała Polskę i Rosję pozostawić bez jakiegokolwiek czynniejszego ze swej strony opieki. Nie jest to jej wina w stosunku do Rosji, lecz skutek wyboru przez Piłsudskiego szczególnej chwili do nieskrępowanego działania przeciw Rosji.

W rezultacie dochodzę do wniosku, że wyprawa kijowska wyruszyła w takim

momencie, gdy ogólne położenie europejskie nie utrudniało nam działania, zaś sytuacja militarna Rosji umożliwiała nam walczyć skutecznie, bo nieprzyjaciel nie był w stanie uruchomić swej przewagi liczebnej.

CELE POLITYCZNE WYPRAWY KIJOWSKIEJ

Wyprawa kijowska miała też głęboki sens natury politycznej. Przystąpiliśmy do tworzenia Ukrainy Ludowej, lecz nie zdołaliśmy tego celu osiągnąć. W pertraktacjach pokojowych odstąpiliśmy prawie od trwania w tym politycznym zamiarze.

Więc z punktu widzenia politycznego wyprawa kijowska jest naszą przegraną.

Lecz nie całkowicie. Nie osiągnęliśmy w całej pełni zamierzonego celu, ale w drodze do niego doszliśmy do rezultatu ważnego na zawsze.

Nie utrzymała się propolska Ukraina Ludowa atamana Petlury, ale powstała Ukraina w ogóle, chociaż sowiecka. Ośmielam się twierdzić, że gdyby nie krew polsko-ukraińska, przelana dla tej sprawy, gdyby nie polityczny program Polski roku 1920, który domagał się wyzwolenia Ukrainy spod panowania rosyjskiego, może nie byłoby dziś Ukrainy, jako samodzielnej republiki. Widzę poparcie tej tezy w tym, że jeszcze na początku pertraktacji pokojowych w Rydze pojawiła się tendencja rosyjska, niejasno określająca samodzielność państwową Ukrainy, i dopiero na żądanie polskie następuje pełne wyjaśnienie państwowego ustroju dzisiejszej Ukrainy. Nie doszła do skutku taka Ukraina, jaką sobie wyobrażał Piłsudski, ruszając w kwietniu 1920 r. na Kijów, lecz powstała Ukraina, która ustrojowo nie jest już Rosją lecz ziemią wyzwoloną, która złączyła się z innymi republikami sowieckimi w jedną sowiecką republikę rad. Krew ukraińska wojsk atamana Petlury nie poszła na marne: udowodniła ona Polsce, Rosji i światu, że Ukraina pragnie żyć. Jest to sukces na wieki.

Nam, Polakom, wyprawa kijowska przyniosła w dziele politycznym również znaczne korzyści: Zbrucz stał się granicą państwową, uznaną przez Ukraińców naddnieprzańskich jako geograficzna linia, dzieląca w sposób możliwie sprawiedliwy mniejszość polską, zamieszkującą na Ukrainie, od mniejszości ukraińskiej, zamieszkującej w Polsce. Ustalenie Zbrucza w układzie politycznym z atamanem Petlurą, jako zachodniej granicy Ukrainy naddnieprzańskiej, zostało w traktacie pokojowym z

OBNIŻKA PRENUMERATY

Zwracamy uwagę Szanownych Czytelników, że z dniem 1 kwietnia b. r. obniżyliśmy prenumeratę „Zaczynu“.

Prenumerata wynosi:

miesięcznie w kraju 1 zł.
kwartalnie w kraju 2 zł. 50 gr.
kwartalnie zagranicą 4 zł. 50 gr.

Równocześnie obniżyliśmy cenę numeru pojedynczego do 30 gr. Komunikujemy naszym Prenumeratorom, którzy opłacili prenumeratę za okres po 1 kwietnia b. r., że w związku z obniżką prenumeraty wpłaty ich będą odpowiednio zaliczone.

ADMINISTRACJA

Rosją Sowiecką potwierdzone i — tak sądzę — dlatego też przez Radę Ambasadorów 14 marca 1923 r. został Zbruczeń defini tywnie przyjęty jako część wschodniej granicy Polski.

Wyprawa kijowska przyczyniła się więc w sposób pozytywny do ustalenia wschodniej granicy Rzeczypospolitej Polskiej.

Ogólny bilans zysków i strat naszej wyprawy kijowskiej jest dla nas korzystny. Nie osiągnęliśmy w całej pełni zamierzonych celów i dlatego nazywam wyprawę kijowską naszą przegraną. Jeżeli jednak nie traktujemy tej wyprawy jako epizodu wojennego, jako operacji taktycznej, jako „wyprawy“, która zaczęła się 25 kwietnia 1920 r., a skończyła się 16 czerwca 1920 roku, lecz jako wstęp do kampanii polsko-rosyjskiej, która zakończona została w bi-

twie nad Niemnem w jesieni roku 1920, to trzeba uznać, że wyprawa kijowska dała rezultaty. A to dlatego, że przyczyniła się w sposób pozytywny do umożliwienia polskiego zwycięstwa nad Wisłą i dalszego jego wyzyskania nad Niemnem.

Nie dała wyprawa kijowska pełnej realizacji śmiałych zamierzeń Piłsudskiego, bo nie dała nam za sąsiada Ukrainy Ludowej, naturalnej sojuszniczki Polski w obronie przeciw imperializmowi Rosji. Tego rezultatu nie dał nam przegrany Kijów, ale nie dała nam go również ani zwycięska Wisła, ani zwycięski Niemen. Historia jakby wskazywała na to, że Rosji mimo zwycięstw militarnych pokonać nie można, tak długo, póki nie jest ona równocześnie ugodzona politycznie.

Do tego stopnia dojrzałości politycznej, aby to zjawisko rozpoznać, lud ukraiński

w kampanii roku 1920 nie był jeszcze przygotowany i dlatego zrozumiała reakcja Rosji mogła dać tak znaczne rezultaty przeciw każdemu, który próbował podeprzeć wątłe jeszcze i w dodatku wyczerpane zwycięstwami wojennymi ramię ukraińskie. Ze wszystkich prób usamodzielnienia Ukrainy przy udziale sił zewnętrznych, lub choćby tylko zawładnięcia ziemiami nadnieprzańskimi — a było ich kilka: koalicyjna, niemiecka, polska — nasza wyprawa kijowska miała wojskowo i politycznie najwięcej szans realizacji. Brakowało nam bardzo niedużo, żeby zamiar stał się czynem; że tak nie było, nie jest winą koncepcji — lecz skutkiem złożonych warunków, które wyjaśniają się dopiero po wojnie, a które mogą stanowić skarbnicę wiedzy i doświadczeń dla tych, którzy po nas będą.

N O W E K S I A Ź K I

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że najbliższą zycia i jego istotnych spraw jest obecnie książka historyczna. Książka apriorystycznie zamierzona na przekrój epoki, oddychająca szerokim i głębokim oddechem dalekich perspektyw, wolna od psychologizmów i wszystkich pozostałych „izmów“, pasywnożyjących na współczesnej prozie. Dlatego właśnie nas państwoców, ten rodzaj literacki interesuje bardzo.

Książka Hanny Malewskiej ¹⁾ o Karolu V jest jedną z najlepszych książek historycznych lat ostatnich w literaturze europejskiej, najlepszą zaś — w beletrystyce polskiej. „Żelazna korona“ to skrętny, harmonijnie zespolony dziarski 40 lat panowania ostatniego cesarza świętego cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego i pierwszego świadomego swych zadań monarchy średniowiecznego świata. Tendencją książki jest uwypuklenie problemu panowania, wykonywania władzy państwowej przez cesarza Karola, oraz psychologiczne usprawiedliwienie jego działalności ludzkiej. Z lektury „Żelaznej korony“ wynika, iż ostatni wielki cesarz Europy średniowiecznej świadomie kształtował historię, sam przechodząc mimo niej niezmienny. Stąd właśnie jego prawdziwa wielkość, stąd stanowienie o losach Europy i świata, stąd jedynąca mu legion wrogów i przyjaciół pyszna dewiza „plus ultra“.

¹⁾ Hanna Malewska: „Żelazna korona“. Tom I, str. 269 i tom II, str. 293. Książnica Atlas. Lwów—Warszawa, 1937 r.

Historyczny wizerunek postaci Karola V nie wyczerpuje jednak dokumentarnego aspektu „Żelaznej korony“. Dopiero zestawienie tych wszystkich ludzi jego epoki, którzy kształtowali ówczesną historię świata, składa się na pełną wartość książki Hanny Malewskiej. Dla czytelnika polskiego Karol V nie jest postacią sympatyczną. Nauka historii, tradycja dawnych walk i sojuszy Rzeczypospolitej wieku XVI, antycypują nam do władcy połowy Europy raczej pewną niechęć, stosunek — usprawiedliwienie — wrogi. Tym bardziej więc uderza i zasługuje na podkreślenie postawa pisarki wobec głównego bohatera jej utworu, ta postawa, którą pod koniec lektury „Żelaznej korony“ przejmują zasugerowane czytelnikowi bez najmniejszych zastrzeżeń. Rzecz o Karolu Piątym jest bowiem rzeczą o państwie, o tworzeniu potęgi, niezawisłości i wielkości państwa.

Według zapowiedzi młoda autorka opracowuje obecnie powieść historyczną z epoki rozkwitu potęgi Rzeczypospolitej, powieść o Polsce wieku XVI. Oceniając w pełni talent twórczyni „Żelaznej korony“ harmonijną organizację wewnętrzną jej utworu, barwną plastyczność języka i stylu — polskiej powieści historycznej Malewskiej oczekiwania będziemy z największą niecierpliwością. Mamy bowiem prawo sądzić, że należeć będzie ona do tych nielicznych pozycji naszej współczesnej literatury, które są potrzebne i użyteczne, które znajdują swoich czytelników i czytelnikom tym dadzą rzetelną korzyść i satysfakcję.

Renesans literatury podróżniczej staje się w latach ostatnich zjawiskiem światowym. Coraz więcej dobrych książek tego typu — powieści, reportaży, pamiętników podróży — znajduje coraz więcej czytelników, cieszy się znaczną i zasłużoną poczytnością. „Ludzie, kraj czarnej pagody“ Lovella Thomasa ²⁾ to jedna z najbardziej interesujących książek podróżniczych, przyswojonych czytelnikowi polskiemu, to książka zasługująca ze wszelkich miar na dużą uwagę.

Obok bowiem niewątpliwego autentyzmu i świeżości formalnej w obserwacjach i relacjach autora, książka o „najdziwniejszym kraju świata“ przynosi szereg uwag o problemie kolonialnym w ogóle, o administrowaniu Indji Brytyjskich w szczególności. W okresie wzmożonej kampanii prasowo-propagandowej w sprawie przyznania mandatu kolonialnego państwu polskiemu, książka podróżnicza typu utworu L. J. Thomasa powinna być bardzo uważnie i skrupulatnie u nas czytana. Autor bowiem, rozpatrując spokojnie i obiektywnie gros zagadnień kolonialnych współczesnego państwa, wysnuwa wnioski dalekie od relatywizmu — ergo aktualne w każdym możliwym układzie gospodarczo-politycznym. A więc książka jaknajbardziej aktualna, na czasie. (135)

²⁾ Lovell J. Thomas: „Ludzie, kraj czarnej pagody“. Trzaska, Evert i Michalski. Warszawa, 1936. (Biblioteka Podróżnicza, tom IV).

G Ł O S Y I O D G Ł O S Y

SZANTAŻYK

„Codzienna Gazeta Handlowa“ z dnia 2 b. m. w artykule p. t. „Czy dziś jest czas na zwadę...?“ pisze między innymi, co następuje:

„Gdyby cudzoziemiec, który przybył właśnie w ostatnich tygodniach do Polski kazał sobie codziennie tłumaczyć artykuły gospodarcze, jakie w prasie politycznej pojawiają się ostatnio niemal w codziennym daniu, niewątpliwie odstąpiłby od wszelkich koncepcji inwestycyjnych, dla których tylko przybył do naszego kraju.

Cóżby bowiem wyczytał w dużym dossier dostarczonych mu tłumaczeń? Ze w polskim życiu gospodarczym dzieje się coś niedobrego, że poważne i duże pisma uchodzące za „miarodajne“ drukują długie rozważania p. t. „Ponury bilans“, w których są tego rodzaju zarzuty, że bilans argumentów wytoczonych przez przemysł surowcowy jest „nie tylko bilansem o typowo fałszywych pozycjach (sic!), jest nie tylko bilansem smutnym, ale także i obraźliwym...“.

Znane to śpiewki... Chwył Lewiatana — szantażowanie polityki państwowej i myśli, nieprzychylniej dla swawoli kapitału, bojkotem nas przez ka-

pitał zagraniczny, przez łaskawych, ewentualnych inwestorów zagranicznych.

Szantaż ten nie jest nowością, już sprecyzowaliśmy ściśle swego rodzaju „żelazne prawo szanta-

W poprzednim numerze „ZACZYŃU“

Balkanizacja uniwersytetów

Z zakresu metodologii myślenia państwowego

Ś. p. Karol Szymanowski

Kto i jak rządzi myślami milionów

Telefonia w niewoli

„Polityka polska po śmierci J. Piłsudskiego“

„Zagadnienie specjalne“

żu“ w N-rze 7 (12) „ZaczyŃu“ w artykule p. t. „Kapitał zagraniczny“:

„Istnienie w Polsce i przyływ kapitału zagranicznego jest dla krajowych kapitalistów uniwersalnym piorunochronem dla obrony tak zw. „praworządności gospodarczej“. Wyjaśnijmy to. Kapitał zagraniczny przychodził do nas z krajów bogatych o gospodarce liberalno-kapitalistycznej, czyli klasycznej i wymagał tej samej klasycyzacji gospodarczej i liberalizmu w Polsce ze wszystkimi nieodzownymi dla niego, a jakże uciążliwymi dla państwa i szerokich mas społecznych, akcesoriami, jakimi są: wolność obrotów pieniężnych i towarowych z zagranicą, klasyczny system walutowy, i absolutna klasycyzacja całości kształtu gospodarki, brak ingerencji państwowej, łagodność śrub podatkowej na modłę państw bogatych. Kapitał zagraniczny w ten sposób stabilizował i wykreślał kierunki naszej myśli i polityki gospodarczej w duchu bardzo liberalnym, co na rękę jest również krajowym sferom przemysłowym. Przypomina to w dziedzinie polityki zagranicznej klasyczny przykład Targowicy, gdy szlachta interweniowała zagranicą o zachowanie w Polsce jej przywilejów wolnościowych“.

LEON DEGRELLE

Kilka dni nas już tylko dzieli od pojedynku Van Zeeland — Degrelle. Będziemy mieli możliwość przekonania się, jakie postępy poczynił w Belgii ruch, który w swych założeniach ma wiele punktów stycznych z t. zw. „fasyzmem”. Jedną z najbardziej charakterystycznych cech tego ruchu jest oparcie się na młodych. Sam wódz ma trzydzieści lat.

„Jestem wodzem ruchu — mówi Degrelle w wywiadzie, udzielonym p. A. Fribourg dla „Marianne”, — który jest w pełnym rozwoju. Mamy tyle do roboty, że nie mogliśmy czekać. Kandyduję, ponieważ, czy kto chce, czy nie, reksizm istnieje i powiększa się z dużą szybkością. Ani mi się śni czekać do przyszłych wyborów. Jeśli reksizm jest rozwiązaniem, na które lud czeka, trzeba, by o tym już wiedziano, by pozwolono nam działać bez zwłoki.

Przeciwstawiając swoją kandydaturę mojej, mój dawny profesor ekonomii politycznej z Louvain (Van Zeeland) dowodzi, że jest tego samego zdania. Walczymy by dać ludowi możliwość wyboru. Ja jestem demokratą. Chcę dojść do władzy w sposób demokratyczny. Tylko w ten sposób ją zatrzymam. Proszę się przyjrzeć. Nie mamy milicji. Nie potrzebujemy jej. Potrzebujemy dwudziestu lat, by wykonać nasze zadanie. Albo lud da nam je, gdy da nam władzę, albo nam ich odmówi. W tym wypadku znikniemy... — I z uśmiechem dodaje: „Ale liczę na Rex-appeal... — nawet kobiety licznie przychodzą na nasze meetingi”.

P. A. Fribourg porusza drażliwą kwestię:

— Uchodzi pan wobec niektórych we Francji, za germanofila, za hitlerowca...

Degrelle wzrusza ramionami:

— Przyjmuję pana, polityka francuskiego, z żywym zadowoleniem. Gdyby niemiecki poseł do

parlamentu chciał się ze mną widzieć, nie przyjąłbym go, jedynie by nie przedłużać nieporozumienia, które już za długo trwa.

Stwierdzam, że nie łączą nas żadne więzy z Niemcami...

Rex jest ruchem ściśle belgijskim.

...Proszę pomyśleć, że mam wkoło siebie wielu inwalidów wojennych, wielu kombatantów... czy pan myśli, że ci ludzie poszliby na politykę, która była by przede wszystkim germanofilską i antyfrancuską?

— Jaka jest wasza polityka zagraniczna?

— Nasza polityka zagraniczna? ależ już doprowadziliśmy do jej zwycięstwa. To ta, którą, pod naszym naciskiem, stosuje rząd Van Zeelanda.

Wartość Belgii łączy się ściśle z prowadzeniem przez nią polityki naprawdę poważnej neutralności.

Neutralność nakłada na nas obowiązek stosunków kurtuazyjnych ze wszystkimi. Jednakże nie chcemy być niczymi poddanymi.

Ale nasza neutralność jest możliwa tylko w tym stopniu, w jakim będziemy krajem silnym.

Ja chcę armii potężnej (mówiąc do Degrelle zamyka pięść i błysk pojawia się w jego oczach), armii potężniejszej niż kiedykolwiek.

WYDAWNICTWA NADESŁANE

Gen. Tadeusz Kutrzeba: „Wyprawa kijowska 1920 roku”, Nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa, 1937 r., str. 359.

Ignacy Matuszewski: „Próby syntez”, „Biblioteka Polska”, Warszawa, 1937, str. 366.

„Niepodległość”, dwumiesięcznik, zeszyty 1 (39) i 2 (40), Warszawa 1937 r.

PALCEM PO MAPIE

Nie popełnimy najmniejszej przesady, jeśli powiemy, że rolę legendarnego „pepka ziemi” odegrał w ciągu ostatnich dwóch tygodni piękny Białogród. Stało się to, rzecz oczywista, dzięki planowej polityce zagranicznej, prowadzonej przez rząd premiera Stojadinowicza, piastującego zarazem tekę spraw zagranicznych.

Układ włosko-jugosłowiański, podpisany w Wielkim Tygodniu, z okazji wizyty ministra spraw zagranicznych Italii hr. Ciano w Białogrodzie, jest układem o wręcz przełomowym znaczeniu, jeśli chodzi o ustosunkowanie się sił w Europie środkowej i na Bałkanach.

Układ ten nie oznacza oczywiście, aby nagle obie wysokie strony wyrzec się miały raz na zawsze walki o Adriatyk, datującej się od czasów, gdy czarowna Wenecja była jeszcze słowiańskim gromem...

Jednak mimo wszystko nie należy zapominać, że w Jugosławii uważano Włochy za takiego samego „odwiecznego wroga”, za jakiego w Polsce uważano Niemcy. Planowa polityka zagraniczna polega wszakże przede wszystkim na wyrzeczeniu się tradycyjnych i emocjonalnych nastawień przy jednoczesnym zastosowaniu kryteriów ściśle racjonalistycznych.

To też w wypadku paktu włosko-jugosłowiańskiego ani rozpadła się w te pędy Mała Ententa, ani też nie osłabły więzy, łączące te trzy państwa z Francją, choć tego rodzaju „proroctwa” rozległy się już w Wielki Piątek. Rzecz inna, że Mała Ententa, po podpisaniu układu Stojadinowicz — Ciano nie jest już tym, czym była, podobnie jak uległ zasadniczej zmianie charakter Ententy Bałkańskiej na skutek paktu bułgarsko-jugosłowiańskiego.

Jednak ministrowie spraw zagranicznych Rumunii i Czechosłowacji, względnie łatwo „połknęli” podczas ostatniej sesji rady Małej Ententy w Białogrodzie pakt pomiędzy Jugosławią a Włochami, podobnie, jak na ostatnim zjeździe ministrów spraw zagranicznych państw Ententy Bałkańskiej w Atenach „połknęto” ugodę pomiędzy „zwaśnionymi kuzynami” z Sofii i Białogrodu.

Z drugiej strony — nie sprawdziły się proroctwa

na temat powodzenia beneszowskiego projektu na temat wzajemnego zagwarantowania przez państwa Małej Ententy wszystkich trzech granic. Był to pomysł z niezupełnie prawdziwego zdarzenia, albo, gdyby przyszło do czego, to Jugosławia musiała by wojować z Niemcami w obronie Czechosłowacji, zaś ta ostatnia wystąpiłaby zbrojnie w obronie granic rumuńskich przeciwko moskiewskiemu protektorowi. To też projekt spalił na panewce, które to niepowodzenie gościnni Jugosłowianie wynagrodzili przebywającemu z wizytą w Białogrodzie prez. Beneszowi wielkimi ilościami iście słowiańskiej serdeczności.

Polityczne rezultaty wizyty p. Benesza w Białogrodzie przedstawiają się dość mgliście. Partnerzy Jugosławii z Małej Ententy obawiają się przede wszystkim następnego logicznego etapu obecnej polityki białogrodzkiej, a mianowicie ugody jugosłowiańsko-węgierskiej. Odprężenie pomiędzy Białogrodem, a Budapesztem, zapoczątkowane niespełna rok temu, poczyniło już bardzo daleko idące postępy. Otóż dopiero pakt jugosłowiańsko-węgierski (podobno projektowany) mógłby zadać śmiertelny cios Małej Entencie, skierowanej przeciwko rewizjonistycznym tendencjom po-habsburskim.

Do tego czasu będzie można spokojnie głosić światu, że państwa Małej Ententy rozszerzają (ka-

Zresztą dla mnie armia jest nie tylko instrumentem obrony narodowej, jest ona środkiem do zorganizowania narodu. Jest niejako olbrzymim piecem społecznym, w którym się stapia ludność. Nie uznaję zwolnienia od służby wojskowej... Chcę, by na służbie wszystkie warstwy społeczne żyły zmieszane, uczyły się poznawać wzajemnie. Pomogę im w tym. Jeśli osiągnę władzę, będę mówił przez radio do żołnierzy w koszarach, jak i do dzieci w szkołach.

Nasza polityka zagraniczna nie może być taka sama jak polityka francuska. Belgia nie jest Francją, gdzie istnieje jedność języka. Tu są dwie kultury: połowa kraju ma kulturę łacińską, połowa kulturę niderlandzką (nie mówię germańską!)...

Istnieją cztery miliony Belgów o języku flamandzkim, z których siedemdziesiąt procent nie zna francuskiego.

Naszą dumą, nas Belgów, jest to, że mamy dwie wielkie kultury, a dotychczas pogardzano jedną z nich. Myślimy, że jesteśmy patriotami, wracając Flandrii jej miejsce...

Jest rzeczą jasną, że duchowo należymy do Francji. Jestemśmy latynami... Dlatego też pociąga nas odradzający się Rzym...

Społecznie jesteśmy ludźmi z lewicy...

Reks jest ruchem ludowym, chłopskim i robotniczym. Chcemy walczyć przeciw trustom, o zarobki poszczególnych rodzin, o urlopy dla robotników.

— Ale macie olbrzymie wydatki. Jak możecie z tego wybrnąć?

— Jest to pytanie, które nam często stawiano. Powiem panu jakie są nasze sposoby. Wejście na wszystkie nasze meetingi jest płatne. Jeśli obywatele interesują się naszymi wysiłkami, muszą nam pomóc... W czasie kampanii wyborczej w maju 1936, ja sam zebrałem przeszło milion franków. Czy to suma do pogardzenia?... Proszę być spokojnym, nie potrzebujemy... pieniędzy z Niemiec. (102)

żde na własną rękę) swe przyjaźnie na nowych „przyjaciół”, nie rezygnując z przyjaźni dawnych.

Sukces osiągnięty przez min. Ciano w Białogrodzie jest wręcz olbrzymi: Włochy, mające zabezpieczone tyły na wschodnim wybrzeżu Adriatyku i „włosko-jugosłowiańskie towarzystwa współpracy intelektualnej”, zorganizowane natychmiast po świętach wielkanocnych w Białogrodzie, Zagrzebiu i Lublanie, — mają znacznie bardziej „wolne ręce” na innych, bardziej obchodzących dziś Rzym od cinkach. „Antyhabsburskie” rezolucje Małej Ententy — tym razem są w idealnej zgodzie z zasadniczymi wytycznymi „osi Rzym — Berlin”.

Skorośmy znaleźli się w Berlinie — wypada wspomnieć o bardzo doniosłym fakcie w wewnętrznym życiu naszego zachodniego sąsiada, a mianowicie o porozumieniu pomiędzy Kanclerzem Rzeszy a walecznym „neopoganinem” marszałkiem polnym Ludendorffem.

Oznacza to konsolidację pomiędzy partią narodowo-socjalistyczną, a kołami, żywiącymi wobec nowego ustroju Niemiec pewne „przesady klasowe”.

Wreszcie — zgodnie z naszymi przewidywaniami z przed dwóch tygodni — sielankowe stosunki pomiędzy rządem gen. Hayaszi a buńczuczny japoński parlament skończyły się bardzo szybko. Dnia 30 marca izba niższa „poszła na trawkę”, natychmiast po przeforsowaniu budżetu...

Do rozgrywki wyborczej w dniu 30 kwietnia stają z jednej strony: wojsko, marynarka oraz czynnik rozumiejący konieczność sprawnej realizacji mocarstwowego planu japońskiego — z drugiej zaś: zawodowi, mocno skorumpowani politycy, wielkie koncerty, inteligentkie „liberały” oraz... obie międzynarodówki.

Obie strony cierpią przede wszystkim na... brak czasu z powodu rekordowo krótkiego okresu przedwyborczego. To też decydującego zwycięstwa którejkolwiek ze stron spodziewać się nie należy. Walka o plan państwowy nie jest łatwa, zaś kartka wyborcza może przyczynić się do zwycięstwa jedynie w wyjątkowych wypadkach. Poza Niemcami — wypadek taki nigdzie jeszcze nie nastąpił. (66).

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa 1, Al. Ujazdowskie 20 m. 7, tel. 7.11.97. Konto czekowe P. K. O. Nr. 25.544**

Numer pojedynczy 30 gr. — prenumerata miesięczna 1 zł. — kwartalna w kraju 2 zł. 50 gr. — zagranicą 4 zł. 50 gr.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Leon Borkowski**

Godziny przyjęć redakcji: 5-6 we wtorki, czwartki i soboty. Administracja czynna codziennie 10-12 i 5-7.

Cennik ogłoszeń: za tekstem $\frac{1}{1}$ — 300 zł., $\frac{1}{2}$ — 160 zł., $\frac{1}{4}$ — 85 zł., $\frac{1}{8}$ — 45 zł., $\frac{1}{16}$ — 25 zł. Za wiersz milimetry — 70 gr. Układ tabelaryczny 50% drożej.